



Dariusz Muszer

LUMMICK

(fragment powieści)

Copyright © by Dariusz Muszer 2009

Wydawnictwo Borussia

Olsztyn 2009

Seria Re-Migracje pod redakcją Aliny Kuzborskiej

Objętość: 213 str., oprawa twarda

ISBN 978-83-89233-54-7

cena 34 zł

Wcześniejsze losy K.K., jednego z bohaterów powieści „Wolność pachnie wanilią”

1

Było to wtedy, gdy ukrywałem się przed całym światem.

Trzy lata temu rozpoczęły się rozmowy. W ostatnim dniu jesieni niespodziewanie odezwał się w moim mieszkaniu telefon. Zdziwiło mnie to, gdyż byłem przekonany, że poczta dawno już go wyłączyła. Spodziewałem się najgorszego. Przez głowę przemknęła mi myśl, że może to pomyłka. Dopiero po siódmym dzwonku podniosłem słuchawkę. Milczałem.

– K.K. – przedstawił się mój rozmówca.

Odetchnąłem z ulgą. To nie był człowiek, którego musiałem się obawiać.

Bez dłuższych wstępów zapytał, czy nie miałbym ochoty pomóc mu w zbieraniu materiałów do książki o Stefanie Lummicku. – Jesteś tam jeszcze? – usłyszałem niepewny głos. Chrząknąłem i odparłem, że muszę wyłączyć gaz, zagotowała się woda na herbatę. Propozycja K.K. zaskoczyła mnie.

Nie od razu się zgodziłem, chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o całym przedsięwzięciu. Zapytałem, dlaczego akurat ja jestem mu potrzebny. K.K. westchnął i zniecierpliwionym głosem oświadczył, że nie chciałby rozmawiać o tym przez telefon – jeśli to możliwe, chce spotkać się ze mną w celu omówienia szczegółów. Nalegał, aby spotkanie doszło do skutku jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia. Zgodziłem się i poprosiłem, aby podał jakiś termin; mam trochę wolnego czasu, więc się dostosuję. K.K. zaśmiał się krótko i stwierdził, że nie ma co zwlekać, gdyż zbyt wiele dni nam nie zostało – najlepiej będzie, jeśli umówimy się już na jutro.

Zaproponowałem małą turecką knajpkę na rogu Weideter- i Roderbruchstraße, można tam tanio i w spokoju napić się piwa. K.K. nie znał tego lokalu, wyczułem, że trochę się wahał. Oczywiście, dla niego lepiej byłoby spotkać się na swoim terenie. Powiedzia-

łem, że będę czekał o trzeciej na przystanku Klingerstraße, jest to wspólny przystanek dla linii tramwajowych numer trzy i siedem. Pouczyłem go, żeby się nie pomylił, należy jechać w kierunku Lahe, nie na Mühlenberg, dalej pójdziemy pieszo. To niedaleko, góra kwadrans. K.K. obruszył się trochę i oświadczył, żebym się nie martwił, na pewno trafi, zna miasto jak własną kieszeń, mieszka tutaj przecież prawie od urodzenia. Pożegnałem się i odłożyłem słuchawkę.

I w ten sposób dwudziestego drugiego grudnia 1993 roku Stefan Lummick wkroczył w moje życie po raz drugi. Nigdy nie pomyślałbym, że może się to stać właśnie za sprawą K.K.

Och, ten K.K., czołowy pisarz młodego pokolenia! Oczywiście tylko w Dolnej Saksonii. Dość szybko, bo w wieku osiemnastu lat, wydał pierwszy tomik poetycki i od razu odniósł sukces. Wiersze były zgrabnym opisem sprzętów wypełniających pokój K.K. Następnie przyszły kolejne dzieła, moim zdaniem dość nierówne, często artystycznie nieudane, lecz krytycy, jak to krytycy, byli odmiennego zdania. Kogoś przecież trzeba lansować, a Dolna Saksonia nie należy do krain obfitujących w uzdolnionych pisarzy. Zajmował się również prozą i eseistyką – co dwa, trzy lata wydawał książkę i obecnie na swoim koncie miał chyba osiem pozycji. Trzydzieści pięć lat i osiem książek! Jak on to robi? Każda omawiana była przez bardziej lub mniej uznanych krytyków, zarówno na łamach regionalnej prasy codziennej, jak i nielicznych na terenie Niemiec pism literackich. Dwa razy jego nazwisko pojawiło się nawet w tygodniku *Der Spiegel*, co – jak się domyślam – nie napełniło K.K. szczególną dumą, w odróżnieniu od wielu jego ziomków. Po raz pierwszy stało się to po opublikowaniu przez niego w miejscowej prasie eseju o kilku pisarzach tworzących w okresie narodowego socjalizmu, drugi raz w związku z podejrzeniem o współpracę ze Stasi.

Był dzieckiem sukcesu, nie szczędzono mu pochwał i nagród, przez co zupełnie nie pasował do obrazu niemieckiego twórcy lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Często przyznawano mu stypendia twórcze, dzięki nim – z tego, co mi wiadomo – odwiedził Włochy, Francję, Szwajcarię, Austrię i Stany Zjednoczone. Od czasu do czasu widywałem go w telewizji w różnego rodzaju regionalnych *talk-shows*. Publiczność go lubiła – gdy pojawiał się na ekranie, można było być pewnym, że rozmowa toczyła się będzie na krawędzi przepaści, do której wpadną przeciwnicy, jeśli tylko odważą się być odmiennego zdania niż K.K. Podkreślić w tym miejscu należy, że wspomniane przepaści nigdy nie były głębsze od przydrożnych rowów występujących w okolicach Hanoweru. K.K. był ostry i dowcipny, przy tym jednak zrównoważony, jak to zwykle ludzie środka bywają. Nigdy w jego oczach nie dostrzegłem ognia, lecz czyż każdy człowiek musi potrafić zapłonąć? Być może w innych częściach świata uznano by go za zwykłego nudziarza.

K.K. znałem tylko przelotnie. Przed mniej więcej ośmiu laty spotkaliśmy się po raz pierwszy na jakimś odczycie. Pamiętam, że niewiele zrozumiałem z tego, co mówił prelegent, gdyż nie mogłem się skupić. Przez cały czas byłem myślami przy tacach z zimnym bufetem, burczało mi w brzuchu i wstydziłem się, że wszyscy to słyszą. Chciałem nawet uciec z sali, lecz nie starczyło mi odwagi, aby podnieść się z miejsca. Po odczycie podszedł do mnie niespodziewanie młody mężczyzna ubrany w kurtkę i spodnie z niebieskiego dzinsu. Stałem niedaleko drzwi wyjściowych i nerwowo sączyłem sok pomarańczowy, który wcale mi nie smakował. Nie wiem, dlaczego zdecydowałem się wyciągnąć rękę w kierunku szklanki z sokiem pomarańczowym, nie byłem przecież spragniony, tylko straszliwie głodny, opętany wizją kanapek! Niestety, znowu nie zdążyłem, uprzedzono mnie, inni byli szybsi. Gdy w końcu dopchałem się do stołu, kanapki znik-

nęły – na tacy leżał samotny ochłap wędzonego łososia i listek sałaty. Czyżby wszyscy głodni z całego miasta zjawili się tamtego wieczoru na odczycie? W każdym razie odczyt dotyczył w pewnym sensie jedzenia. Chodziło o obraz Bloku Wschodniego w miejscowych mediach. Mówiono oczywiście wyłącznie o Rosji.

Niebieski podał mi rękę, przedstawił się i zapytał, jak mi się wiedzie. Zwróciłem uwagę na mocny uścisk dłoni i duże, brązowe oczy, spoglądające na mnie otwarcie i życzliwie. Odparłem, że dobrze, i zapytałem o to samo, na co on się roześmiał. Należał do ludzi, którzy często wybuchają nerwowym śmiechem. Rozmawialiśmy jakieś pół godziny i do dziś podziwiam K.K. za to, że wytrzymał tak długo dialog z człowiekiem, którego język był niezwykle ubogi w zasób słów. Zdziwiło mnie, że zadawał tyle pytań dotyczących mojej przeszłości i żywo interesował się moimi przejściami w Niemczech. Mieszkałem wtedy w tym kraju dopiero od dwóch lat. Nie dowiedział się zbyt wiele. Moja przeszłość była dla mnie wtedy bez znaczenia. Starłem się wszystko zapomnieć i próbowałem za wszelką cenę rozpocząć nowe życie. Nie powiem, był to najszczęśliwszy odcinek mojej ziemskiej drogi. Dziś powiedziałbym, że postępowałem jak dziecko, które przypadkiem zaplątało się na dyskotekę, gdzie grano w kółko tego samego kadryla.

Potem spotkaliśmy się jeszcze trzy lub cztery razy, zawsze przy okazji jakiegoś odczytu lub przedstawienia teatralnego, a przez ostatnie pięć lat nie widzieliśmy się wcale. Znudziło mnie to ciągle słuchanie i oglądanie tych wszystkich bezsensownych rzeczy, z którymi niewiele miałem wspólnego, zatem przestałem wychodzić z domu. Starłem się pisać. Kilka wierszy, jakaś sztuka teatralna po niemiecku, trzy powieści po polsku... I teraz nagle miałem się spotkać z K.K., aby omówić sprawy związane z biografią Stefana Lummicka, jednego z najbardziej tajemniczych pisarzy w powojennych dziejach literatury niemieckiej. Pisarza, który właściwie nigdy nie istniał.

Przybył punktualnie. Kiedy się zbliżałem do przystanku, już z daleka dostrzegłem szczupłą sylwetkę stojącą samotnie na chodniku. Nie zdziwiło mnie, że nadal nosił ubranie z niebieskiego džinsu. Artyści zazwyczaj są monottonni w doborze strojów – jak już się przyczepią do jakichś spodni, chodzą w nich, póki te się nie przetną w kroku albo na siedzeniu. W telewizji wyglądał lepiej. Telewizja to co innego. Coś w rodzaju źródła wiecznej młodości. Albo wiecznego przekleństwa.

Niebo było pochmurne, padał rzadki, zimny deszcz – typowa pogoda w Hanowerze o tej porze roku. Przywitaliśmy się bez szczególnej wylewności, wymieniliśmy kilka nieistotnych uwag i ruszyliśmy w kierunku knajpki. K.K. z zaciekawieniem rozglądał się dookoła, o ile sobie przypominał, jeszcze nigdy nie był w tej dzielnicy. Nie zdziwiło mnie to: kto nie musiał, nie przyjeżdżał w tę okolicę. Ja mieszkałem tu z przyjemnością, odpowiadało mi towarzystwo ludzi, którzy z posiadaniem pieniędzy niewiele mieli wspólnego. Pusta kieszeń ciągnie do pustej kieszeni.

Zapytałem K.K., czy jego zdaniem istnieje we wszechświecie jakiś bardziej doskonały kolor od niebieskiego? Przystanął na chwilę i spojrzał na mnie z uwagą.

– Widzę, że przygotowałeś się do rozmowy – powiedział suchym głosem. – Zapewniam cię, że kolor mojego ubioru nie ma żadnego związku z *Niebieskim* Lummicka.

– Doprawdy? – rzuciłem.

Po niecałym kwadransie dotarliśmy na miejsce.

– Czy tu gdzieś w pobliżu mieszkają angielscy żołnierze?

– Mniej więcej rok temu się wyprowadzili, kilka domów stoi pustych – odparłem. – Ale dlaczego pytasz?

– „Charlie’s Eck”.

– Tak, nazwa knajpy jeszcze została.

Weszliśmy do środka. Pozdrowiłem stojącego za ladą Osmana, właściciela lokalu, który przed kilkunastu laty, jeszcze jako dziecko, przybył z jakiejś anatolijskiej wioski do Niemiec. Poprosiłem go o dwie duże szklanki i cztery piwa – dla mnie Lindener, K.K. zażyczył sobie Warsteiner – i skierowaliśmy się w głąb lokalu. Przechodząc obok stolika, przy którym w milczeniu siedzieli dwaj starzy tureccy gospodarze i niemo spoglądali przed siebie, zastukałem pięścią o blat, aby przywitać się z nimi. Odpowiedzieli mi stuknięciem i uśmiechnęli się szeroko. Na chwilę powrócili ze swojej Anatolii na ziemię. Wymieniliśmy kilka zdań na temat pogody oraz samopoczucia i poszedłem dalej. Dostrzegłem uniesioną rękę Starego Wodza, również pozdrowiłem go wyciągnięciem ręki. Stary Wódz nie mógł już pić, przynajmniej tak mówił; przychodził do Osmana, aby posiedzieć sobie i czasami pograć w szachy albo w kości. Przynajmniej raz w miesiącu spotykałem Wodza w stanie nieważkości. Udawaliśmy wtedy, że się nie widzimy.

Usiedliśmy przy stoliku pod oknem. Naprzeciwko nas stał flipper – masywna bryła na czterech cienkich nogach. Gra nosiła nazwę *Terminator*.

– Widzę, że znasz tutaj wszystkich – powiedział K.K.

– Przesada. Kiedyś przychodziłem tu częściej. Wtedy wszystko trochę inaczej wyglądało. Ale bilard pozostał ten sam.

– Grasz w bilard?

– Nie. Wiem tylko, że stół bilardowy powinien być wyłożony zielonym sukmem.

Piliśmy piwo w milczeniu. Nagle K.K. zapytał:

– Znasz Lummicka?

Flipper włączył się sam i zaczął błyskać kolorowymi światłami. Nie dałem namówić się na rundę.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Nie, nie znam. Czytałem tylko parę jego książek.

– Tak tylko zapytałem, mogłoby przecież okazać się, że...

– Dlaczego właściwie chcesz, abym pracował z tobą? Coś mi w tej całej sprawie nie gra.

K.K. parsknął śmiechem i zaczął wyjaśniać. Z tego, co mu wiadomo, część materiałów dotyczących życiorysu Stefana Lummicka trzeba będzie zbierać na terenie Polski, a jako że on nie zna polskiego, przydałby mu się ktoś, kto włada tym językiem. Poza tym wie, że dość dobrze znam stosunki polskie, mieszkałem tam przecież prawie przez trzydzieści lat, i to w dodatku w pasie przygranicznym, co może nie być bez znaczenia dla całej sprawy. Miałem więc towarzyszyć mu w podróży jako przewodnik, tłumacz i coś w rodzaju damy do towarzystwa.

– Na pewno spędzimy razem wiele pięknych chwil – stwierdził z uśmiechem. – Dla mnie ten wyjazd na Wschód będzie wielką przygodą, odkryciem nowej przestrzeni. Archipel Verlag zaproponował mi napisanie tej biografii, sam jestem zaskoczony, że wybrano właśnie mnie.

– Uchodzisz za znawcę twórczości Lummicka, pisałeś kilka recenzji z jego książek. Na twoim miejscu wcale bym się tak nie dziwił. Jeśli ktoś w ogóle mógłby to zrobić, to chyba właśnie ty. Czy ktoś w wydawnictwie wie, że będę z tobą pracował?

K.K. milczał przez chwilę.

– Nie – powiedział z ociąganiem. – I wcale mi nie zależy, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

– Miałbym zatem być również kimś w rodzaju *ghostwritera*?

– Jeśli masz ochotę tak to sobie nazywać, twoja sprawa. Ja powiedziałbym raczej, że jeśli się dogadamy, staniesz się moim własnym, bardzo prywatnym detektywem. Twoje nazwisko nie pojawi się nigdzie: ani na okładce książki, ani też w przypisach. To ma być moja, wyłącznie moja książka. – Zawiesił głos, jakby czekając na mój protest. Wpatrując się w dno szklanki, piłem spokojnie piwo. – Doszły mnie słuchy – odwieścił głos – że ostatnimi czasy nie wiecie ci się najlepiej. Nie masz więc chyba zbyt wielkiego wyboru.

Miał rację, nie chciałem jednak wdawać się z nim w głębszą dyskusję na temat mojej sytuacji, poprosiłem więc, aby mówił dalej o planowanej biografii. Szklankę odstawiłem z hukiem na stół.

Nie miał dużo do powiedzenia. Prawdę powiedziawszy, powinienem był zacząć się śmiać, gdyż informacje o Lummicku, jakie mi przekazał, nie wypełniłyby nawet karty jadłospisu garkuchni dla bezdomnych. Więcej za to powiedział o sobie. Nie słuchałem dokładnie. Wieści o jego sukcesach przelatywały przez moją głowę niczym piwo przez gardło. Upiłem się tym jego powodzeniem w życiu. Wyszedłem do ubikacji, gdzie długo przyglądałem się odbiciu własnej twarzy w zamazanym lustrze. Nie przesłałem sobie pocałunku. Byłem na to zbyt brzydki. Gdy w drzwiach pojawił się jeden z podchmielonych gości i zaczął przeciskać się w kierunku pisuarów, zdecydowałem, że czas najwyższy wracać do stolika. Drzwi wyjściowe nie zawsze są najlepszą formą ucieczki.

W końcu, po jakiejś godzinie nieprzerwanego potoku słów, K.K. oświadczył:

– To już wszystko, wkrótce otrzymasz ode mnie dalsze instrukcje. Czy masz jeszcze jakieś pytania?

Trzasnąłem obcasami. Nie miałem więcej pytań. Zostawiłem je wszystkie w domu, na biurku zasypanym manuskryptami, których nawet nie było do kogo wysłać.

Dopiliśmy piwo i chciałem już wstawać, gdy K.K. powstrzymał mnie ruchem dłoni.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedział przyciszonym głosem i pochylił się, aby podnieść czarną teczkę stojącą na podłodze. Z namaszczeniem otworzył ją i wydobyl kopertę, którą położył na stole i delikatnie popchnął w moim kierunku. – W środku jest dziesięć tysięcy marek. Nie chcę, żebyś miał jakiegokolwiek trudności finansowe. Ta praca musi być wykonana solidnie.

– To duża suma. Nie boisz się wędrować z takimi pieniędzmi bez obstawy?

K.K. roześmiał się: – Dostałem zaliczkę. Poza tym nie zapominaj o tym, że będziesz musiał kupić jakieś tanie auto. Masz chyba prawo jazdy?

Skinąłem głową.

– A ty?

– Zabrali mi w zeszłym roku. Jeszcze dwa lata nie wolno mi jeździć samochodem.

– Nigdy nie słyszałem, żeby nakładano aż takie kary.

– Ja też nie.

Rozejrzałem się po kątach, aby zademonstrować K.K., iż dobrze zrozumiałem i przyjąłem swoją rolę, a następnie bez słowa i bez porozumiewawczego uśmiechu schowałem kopertę do kieszeni kurtki. Udaliśmy się w kierunku wyjścia. Nie życzyłem Osmanowi wesołych świąt, tylko udanych dni wolnych od pracy. I tak wiedziałem, że będzie pracował.

Wyszliśmy na dwór. Deszcz już nie padał.

K.K. nie miał ochoty wracać do domu tramwajem. Przypadkiem nadjechała taksówka i zatrzymała się tuż obok nas. Pożegnaliśmy się, podając sobie ręce. K.K. usiadł obok kierowcy i odjechał.

Szedłem do siebie i nagle przyszło mi do głowy, że K.K. wcale nie machał ręką, żeby zatrzymać taksówkę. Wyglądało na to, że już wcześniej ją zamówił. Skąd jednak wiedział, o której godzinie skończymy naszą rozmowę? Przypomniało mi się również, że nie widziałem, jak K.K. wysiadał z tramwaju. Równie dobrze mógł zatem przybyć na spotkanie taksówką. Czy była to ta sama, która go teraz zabrała? Przystanąłem na moście. Po leniwych wodach Kanału Śródlądowego ospale płynęła barka. Czy każdy prywatny detektyw musi zadawać sobie tyle nic nie znaczących pytań? A może wszystko ma znaczenie, może każde pomyślane słowo stwarza nowy świat? Może cztery piwa i dziesięć tysięcy marek w kieszeni to za dużo szczęścia naraz?

Następnego dnia udałem się do jednego z domów towarowych położonych w centrum miasta. Długo przymierzałem różne płaszcze oraz nakrycia głowy i przeglądałem się w olbrzymim lustrze, zanim z zadowoleniem stwierdziłem, że z grubsza przypominam Philipa Marlowe. Szary prochowiec i kapelusz stetson leżały na mnie jak ulał.

Gdy wyszedłem na ulicę, zamykano już sklepy. Zdziwiło mnie to, więc spojrzałem na zegarek – była dopiero piąta. I wtedy nagle przypomniało mi się, że dzisiaj jest przecież wigilia. Wyjąłem paczkę z tytoniem Miami Style i bibułkę. Zrobiłem skręta. Wyszedł krzywy i niezdarny, jak zawsze. Wsunąłem go w kącik ust. Oczywiście, że ładniej wyglądałoby, gdybym stuknął kilka razy gotowym papierosem o srebrną papierośnicę. Płomień zapałki rozjaśnił na moment moją twarz, pogrążoną w cieniu kapelusza, podniesionego kołnierza prochowca i ciemnego zaułka.

Rozglądałem się czujnie po deptaku. Nie zauważyłem nic podejrzanego. Nasunąłem mocniej stetsona na głowę i ruszyłem w kierunku dworca głównego, gdzie w podziemiach mieścił się przystanek tramwajowy linii numer 3. Zanim dotarłem do Ernsta Augusta, któremu wierny naród wystawił spiżowy pomnik, nie zapominając przy tym o jego koniu, którego ogon jest obecnie słynniejszy od samego króla, jako że pod nim to właśnie umawiają się zakochani i biznesmeni, tudzież pisarze – deszcz rozpadał się na dobre.

Tak więc tego roku Gwiazdor obdarował mnie nad wyraz szczerze. A już myślałem, że znowu o mnie zapomni.

Wigilię spędziłem sam. Nie odwiedziła mnie żadna kobieta. Mężczyźni również tego dnia trzymali się ode mnie z daleka.